

Tomasz Merta: Szkolny Lewiatan

Erozji nauczycielskiego autorytetu towarzyszy bowiem niezwykle wzmocnienie potęgi grupy rówieśniczej – co jest najprawdopodobniej nieuniknionym skutkiem postępującej demokratyzacji szkoły



Erozji nauczycielskiego autorytetu towarzyszy bowiem niezwykle wzmocnienie potęgi grupy rówieśniczej – co jest najprawdopodobniej nieuniknionym skutkiem postępującej demokratyzacji szkoły - *przeczytaj tekst z książki "Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane"*

Zęby już umyte (albo i nie), drugie śniadanie zapakowane (albo i nie), drzwi zamknięte. Dziecko ruszyło w drogę do szkoły. Ze świata dobrze oswojonego i znanego przeniosło się na kilka godzin w świat obcy i nieznan. Może nie dla samego dziecka, ale przynajmniej dla rodziców.

Własne wspomnienia szkolne leżą zakurzone na pawlaczku, więc teraz szkoła wydaje się groźną Tajemnicą. Czasem rodzicom jawi się ona wręcz jako nieprzenikniona i nieobliczalna moc, potężny Lewiatan, w którego trzewiach codziennie znika ich dziecko. Jakie wróci? Czy odmienione? Rodzicielska kontrola nad owym Lewiatanem jest znikoma, a wiedza o nim skromna. Nic dziwnego, że łatwo staje się on nieprzyjacielem, zagrożeniem, szczególnie gdy dziecko umiejętnie podsycy rodzicielskie lęki, skutecznie wybielając własne sumienie.

Cóż więc naprawdę dzieje się w polskiej szkole? Czy istotnie wydajemy dziecko w ręce sadystycznych nieuków, którzy odreagowują w pracy swoje frustracje i porażki? Czy też może odwrotnie – rodzicielskie lęki są całkowicie irracjonalne, bo szkoła jest sympatycznym miejscem, w którym spotkać można wyłącznie kompetentnych i oddanych swej pracy nauczycieli? Odpowiedź na oba te pytania jest rzecz jasna przecząca, bo szkoła – każda i wszędzie, nawet po ewentualnym wprowadzeniu reformy ministra Handkego – jest mieszaniną jednego i drugiego. Proporcje mogą się oczywiście zmieniać, ale pewne jest, że szkoły piekła i szkoły nieba istnieją tylko w literaturze. Nie jest zresztą wcale powiedziane, czy rzeczywiście szkoła niebo byłaby pożądana. Idylla nie wydaje się najlepszym pomysłem edukacyjnym. Co innego szkoła będąca mieszaniną dobrego i złego – taka szkoła jest światem w mikroskali, z problemami i stresami, sukcesami i niepowodzeniami. Zmusza do życia nie tylko z tymi, których lubimy, ale i z tymi, których tylko tolerujemy, czy nawet wręcz nie znosimy. Uczy rozwiązywania problemów, bolesnej nierzadko sztuki kompromisu i samoograniczenia – nade wszystko zaś sztuki bycia z innymi ludźmi. W tym sensie szkoła

zawsze służyła jako miejsce socjalizacji młodych ludzi i – o czym często zapominają jej co bardziej radykalni reformatorzy – było to zupełnie niezależne od nauczanych przez nią przedmiotów. Nie jest więc tak, że do życia w najbardziej dosłownym i praktycznym sensie przygotowuje jedynie szkoła, która zamiast lektury Mickiewicza, zaleca analizę ulotek reklamowych, a zamiast tzw. abstrakcyjnych równań obliczanie procentu, który trzeba zapłacić od wziętego z banku kredytu.

Nie jest też do końca jasne, czemu za główną zbrodnię współczesnej polskiej szkoły uważa się to, iż uczy ona rzeczy zbytecznych. Paradoksalnie można by przecież powiedzieć, że i to jest istotnym doświadczeniem przygotowującym do dorosłego życia, w którym co i rusz musimy czynić rzeczy nudne, żmudne i zbyteczne, i jeśli je czynimy (a skutki buntu mogłyby być nieobliczalne), to po części także wskutek przebytego w młodości treningu. Na marginesie warto może dodać, że problem wiedzy zbytecznej polega przede wszystkim na tym, że nie ma zgody na to, co jest naprawdę zbyteczne. Gdy kiedyś poproszono maturzystów o opinie na temat lektur szkolnych, nie zostawili na nich suchej nitki, niemal wszystko odsyłając do lamusa. Kiedy jednak poproszono ich, by napisali, jakie książki powinny w szkole czytać ich dzieci w przyszłości, błyskawicznie zmienili się w opresywnych tradycjonalistów, chcących uraczyć swe jeszcze nie narodzone potomstwo całym literackim kanonem. Zatem zbyteczne czy konieczne? Ci, co dziś oddają się adoracji praktycznych umiejętności, nie powinni zapominać, że prawdziwa kompetencja musi opierać się na wiedzy, bo nie jest niczym innym jak aplikacją owej wiedzy (zbytecznej, teoretycznej czy jak tam kto chce) do konkretnych problemów. Ostrożnie więc odchudzajmy podręczniki i treści programowe – reedukacja jakoś nie wygląda mi na cudowne lekarstwo na szkolne bolączki.

Bardzo trudno jest wypowiadać o szkole sądy generalne – ocena jej rozpada się na sumę indywidualnych opinii i doświadczeń, które nie dają się właściwie sensownie zsumować. Tak więc poczynania reformatorów obarczone są zawsze sporym ryzykiem błędu i to takiego błędu, którego przez całe lata można nie dostrzec. Reformatorzy przypominają bowiem często owych zalęknionych rodziców, którzy szkołę traktują jako wrogą twierdzę, którą trzeba zdobyć, by ocalić niewinne duszyczki nowego pokolenia. Z jednostkowych koszmarów (nierzadko rzeczywiście prawdziwych i istotnie przerażających) kreują zbiorowego demona autorytarnej szkoły i nauczycieli dręczycieli. Marzy im się w to miejsce nowa szkoła – absolutnie nie autorytarna, lecz demokratyczna, w której nauczyciel tyran ma ustąpić miejsca nauczycielowi partnerowi. Takie pomieszanie pojęć bywa groźne, bo prowadzi do poważnych nieporozumień. Szkoła rzeczywiście nie powinna być autorytarna i sadystyczna, ale takie stwierdzenie w żadnym razie nie może oznaczać banicji wszelkiego autorytetu. Nauczyciel nie może wzbraniać się przed zajmowaniem stanowiska, przed oceną postępów ucznia, przed jednoznacznością – bez tego ani edukacja, ani wychowanie nie jest możliwe. Ważne jest to, by nauczyciel zdawał sobie sprawę, że owego autorytetu nie można budować wyłącznie na administracyjnych i instytucjonalnych podstawach (choć nie można też i zupełnie bez nich), lecz przede wszystkim na własnej kompetencji, odwadze i powadze. Podobnie rzecz ma się z partnerstwem nauczyciela i ucznia – jeśli idzie o to, by nauczyciel jasno określał swoje wymagania i sprawiedliwie oceniał ich realizację, by przestrzegał szkolnych reguł prawnych i nie nadużywał swojej władzy, ani też nikogo nie szykanował – takie partnerstwo jest oczywiście godne pochwały. Z pewnością jednak nie może być mowy o partnerstwie w niewiedzy, w tym modelu partnerstwa uczeń kreowany jest na samodzielniego poszukiwacza (dokładnie nie wiadomo czego:

wiedzy, prawdy, rozrywki?), któremu towarzyszy także poszukujący nauczyciel, który broń Boże niczego nie narzuca i ani piśnie, że jakieś uczniowskie odkrycie funta kłaków nawet nie jest warte. Fundamentem nauczycielskiej profesji są dwa podstawowe założenia: po pierwsze, że wiedza jest przekazywalna przez jednego człowieka innemu, po drugie, że ten, kto ją przekazuje, wie więcej od tego, który się dopiero uczy. Partnerstwo w niewiedzy, czyniące z nauczyciela co najwyżej organizatora samodzielnej pracy uczniów, zdaje się naruszać ten drugi elementarny warunek i w wersji radykalnej jest z pewnością absurdalne. Trudno sobie wyobrazić jego pełną realizację, choć wiem, że niektórzy poczynili już w tym kierunku podziwu niegodne wysiłki.

Warto też zdawać sobie sprawę, że chcąc uwolnić ucznia od dyktatu nauczyciela, bardzo łatwo jest go poddać dyktatowi stokroć potężniejszemu. Erozji nauczycielskiego autorytetu towarzyszy bowiem niezwykle wzmocnienie potęgi grupy rówieśniczej – co jest najprawdopodobniej nieuniknionym skutkiem postępującej demokratyzacji szkoły. Tylko z pozoru nauczyciel jest groźniejszy – kształtujący swą osobowość młody człowiek jest szczególnie wyczulony na ocenę ze strony grupy kolegów czy klasy i znacznie trudniej jest mu się przed nią bronić. O wiele łatwiej jest wystąpić przeciw nauczycielowi (wymaga to odwagi, ale pozwala też zdobyć uznanie kolegów), niż stanąć przeciwko klasie. Nauczyciel ma, owszem, do dyspozycji całą gamę środków przymusu, od złej oceny poczynając, a na wezwaniu rodziców kończąc (zły nauczyciel może też spróbować poniżenia ucznia), grupa ma jednak stokroć potężniejsze środki (wzgardę, odrzucenie, ośmieszenie, fizyczną przemoc). Zatem stąpajmy ostrożnie: nauczyciele bywają różni – źle wychowani, niezdolni do rzetelnej dyskusji, złośliwi, ale tłum znacznie częściej niż jednostki ujawnia swe nikczemne instynkty.

Jeżeli już miałbym się pokusić o jakiś sąd generalny na temat polskiej szkoły, to powiedziałbym, że okres wprowadzania reformy – abstrahując od problemu sensowności wszystkich jej elementów – będzie czasem powszechnej szkolnej dezorientacji. Dezorientacji uczniów i rodziców, ale w pierwszym rzędzie nauczycieli. Stawia im się nowe, niezbyt jasne wymagania, żąda szybkiego wprowadzenia w życie nowych programów i metod nauczania, nowego stosunku do uczniów, nowych kompetencji (uczenie bloków przedmiotowych). Dezorientacja bywa czasem pożyteczna, jeśli staje się twórczym fermentem, częściej chyba jest jednak destrukcyjna. Zdezorientowany nauczyciel zgubił busolę, która go dotąd lepiej czy gorzej wiodła przez wzburzone szkolne morze – co powinien teraz czynić, a przed czym się powstrzymać? Czy ma wyrazić swoją opinię na temat zachowania ucznia (żąda się przecież, by go wychowywał), czy też może raczej powinien milczeć, aby nie naruszyć jednego z rozlicznych uprawnień uczniowskich? Czy wulgarna wypowiedź to przejaw chamstwa, czy też może gorzki owoc zasady wolności słowa? Czy ma zwrócić uwagę parce zwartej w – powiedzmy – niezwykle czułym uścisku na szkolnym korytarzu, że pewnych rzeczy w miejscach publicznych czynić nie uchodzi, czy też udać, że bardzo zainteresował go właśnie stan parkietu i szybko przejść obok?

Na tę nową dezorientację nakłada się stara frustracja – wielu nauczycieli nie wierzy w swoją możliwość wpływania na uczniów, bo jak może być wzorem ktoś, kto mało zarabia i jeździ kiepskim samochodem (o ile w ogóle nie autobusem). Jak ma przekonać uczniów, że nie tylko pieniądze liczą się w życiu? Taki styl myślenia jest jednak sam w sobie pułapką – nie ubolewajmy nad ciasnym utylitaryzmem uczniów, skoro sami zarażeni jesteśmy tą samą chorobą. Nauczyciel sfrustrowany brakiem samochodu ma przecież tę samą hierarchię wartości co uczeń

– dlatego ciskane przez niego anatemy na konsumpcjonizm brzmią mało wiarygodnie. Znam jednak dostatecznie wielu nauczycieli, którzy doskonale sobie z tym problemem radzą. Nie obnoszą oni swej szkolnej kariery jako bolesnej rany, lecz wręcz przeciwnie, jako świadectwo wyboru tego, co cenniejsze od wszystkich samochodów. Ich również martwią niskie pensje, nie pozwalają jednak narzucić sobie wizerunku nieudacznika, który został nauczycielem, bo nie potrafił lepiej się urządzić. Tym nauczycielom wciąż udaje się wychowywać ludzi, którzy wątpią we współczesną wersję kopernikańskiej astronomii: że wszystko obraca się wokół ekonomii.

Dużo mówi się ostatnio o tym, że szkoła powinna wychowywać – czynione są nawet różne (czasem absolutnie poronione, jak w przypadku niesławnego pomysłu segregacji szkół na laickie i katolickie) wysiłki, by tę wychowawczą działalność zintensyfikować. Pozostają sceptyczny, bo taka intensyfikacja najpewniej zamieni się w powódź wielkich słów, której praktyczne efekty będą znikome. Szkoła, owszem, wychowuje, ale nie przez słowa, tylko przez ich zgodność z czynami. Powiem rzecz banalną, ale niektóre banały zasługują na nieustanne powtarzanie: najważniejsze w wychowaniu jest to, by wychowawca istotnie czynił to, czego naucza. Rezultatem działań nauczyciela, który wygłasza peany na cześć uczciwości, a równocześnie knuje wraz ze swą klasą, jak oszukać kolegę z nauczycielskiego grona, może być tylko cynizm wychowanków. Podobnie jedynie wołaniem na puszczy pozostanie werbalna troska o dobre maniery i nie plugawą mowę, jeśli sam nauczyciel nie ma pod tym względem czystego sumienia. Gdy więc słyszę zewsząd płaczliwe głosy skarżące się na młodzież, iż niechętnie sięga po książkę, to myślę sobie, że dużo w tym naszej – nauczycieli i rodziców – winy. Jeśli nasz czytelniczy jadłospis ogranicza się do

pracowitego przeżuwania codziennych gazet, urozmaicanych deserem o smaku kobiecego pisma, jeśli wzywamy dzieci do czytania, nie odrywając wzroku od telewizora, to doprawdy sami sobie jesteśmy winni.

Jeśli zaś idzie o rodziców, to najważniejsze, by nie dali sobie wmówić, że szkoła to coś na kształt kataklizmu, albo też, że szkoła to instytucja, która zastąpi ich w wypełnianiu rodzicielskich obowiązków. Szkoła jest i będzie taka sobie. W dodatku wcale nie należy przeceniać jej znaczenia – wszystkie badania socjologiczne wykazują, że jest ono znikome w porównaniu z wpływem domu rodzinnego. Nic i nikt nie zwolni więc rodziców z odpowiedzialności. Słowo wielkie, ale nie idzie o czyny heroiczne, a raczej o uważność. O towarzyszenie dziecku w jego szkolnych perypetiach, o poświęcenie czasu na rozmowę o tym, co się w szkole wydarzyło (wiem, że trudno słuchać w dużych dawkach ploteczek i opowieści o klasowych kawałach czy dramatycznych kłótniach, ale trzeba). Nie ingerujmy zbyt często w szkolny świat dziecka, ale nie bójmy się interweniować, gdy to naprawdę konieczne. Nade wszystko zaś rozmawiajmy – nie pozwólmy, by ów świat całkowicie się przed nami zamknął. Nie zostawiajmy szkoły samej, bo przed czy po reformie sama sobie nie poradzi – jej siła bądź słabość jest jedynie funkcją tego, jak my wypełniamy nasze powinności.

Tomasz Merta

Teskt ukazał się w tomie "Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane".